

Adam Wiaryga-Minieski

## MAŁŻEŃSTWO WOJENNE

Powieść z dni ostatnich.

38

— Ach! To niczego nie dowodzi... Zapewniam panią, że to rdzenna Krakowianka z okolic Stradomia. Przypominam ją sobie. Przed wojną miała bardzo skromny sklepik z mydłem, naftą, zapalnikami... Jeszcze wtedy nie nosiła brylantów w uszach i nie chodziła do kawiarni... Obecnie prawdopodobnie nie sprzedaje ani mydła, ani nafty, ani zapalek, ale, jak pani widzi, powodzi się jej nienajgorzej...

— A co ona robi?...

— Co robi?... Prowadzi handlowe i inne transakcje... To się tak nazywa delikatnie, ale możnaby to określić także nieco dosadniej... W każdym razie ma pani przed sobą „wojenną” bogaczkę...

— Strasznie brzydka, śmieszna i ordynarna — zdecydowała Józia.

Dama, o której mówili, potrzasała co chwila głową, że aż chwiały się kosztowne pióra na jej kapeluszu i kołysały się ogromne brylantowe kolczyki, rzucając snopy łączowych światła.

Pomimo ciepłego, letniego wieczoru miała na sobie długie futrzane boa. Głęboki dekolt odsłaniał obite, czerwone ciało. Krótkie, grube palce, przyozdobione zdumiewającą ilością pierścionków, poruszały się w żywej gestykulacji. Twarz opasła, czerwona, nieumiejętnie upudrowana, śmiała się linia sinawych, szerokich ust i czarnymi, jak tarki, małemi, w tłuszczy tonącymi oczyma.

Dama w futrzanym boa zachowywała się niezmiernie hałaśliwie. Rozmawiała tak głośno, jakby była u siebie w domu, albo znajdowała się sama w kawiarni.

Zwrócona ku dwóm swoim towarzyszom, z których jeden był „cywilem”, a drugi miał na sobie mundur wojskowy z odznakami feldwebela, mówiła po niemiecku, zaciągając specyficznym akcentem:

Opodał dwóch mężczyzn wiodło niemiecką także rozmowę, ale przyciszonym głosem, prawie że szeptem. Jeden z nich, młodszy, starannie wygolony i ufrizowany, z twarzą o grubych, czerwonych wargach i dosyć kształtnym nosie, lekko zgarbionym, żywo dowodził czegoś.

Zdawał się chcieć przekonać towarzysza, który musiał zwrócić uwagę każdego bezstronnego obserwatora swoją obrzękłą, odpychającą, rudawym, skudłaczonym zarostem obrosłą twarzą i ponurem wejrzeniem wylupiastych oczu, przesłoniętych okularami. Zaplamiony surdut jego był stanowczo za długi i przypominał coś niecoś chałat.

Kiedy niekiedy dolatywały z ich rozmowy urywane słowa i frazesy:

— Gutes Geschäft!...

— Hundert fünfzig.

— Zwei hundert!...

— Zucker wird steigen... wird kolossal steigen!...

— Aber still... nur still!...

— Und wenn der Frieden!...

— Ach! Was! Keine Red!... — zawołał głośniejszym wygolony jegomość, poruszony widocznie do żywego tem przypuszczeniem.

Wyciągnął z kieszeni notatnik i kreśląc jakieś cyfry, pokazywał je tamtemu.

Przy stoliku sąsiednim, tuż koło Jurka i Józii, kilku młodych ludzi obserwowało także ze złośliwymi uśmiechami ubrylantowaną wrzaskliwą sklepikarkę.

— Trzeba się będzie przenieść chyba do innego lokalu... — westchnął jeden.

— Dlaczego?

— Bo tutaj strasznie ciężkie powietrze... — komicznie przeciągał nosem.

— A gdzie ono lżejsze?... Gdzie się ruszysz, wszędzie pełno nowej „arystokracji”...

— A palicho nową i starą arystokrację, byle tylko facyfa była przyzwoitsza!... Ale na to patrzeć, to aż się mdło robi!...

— Poczekajcie — zawołał pierwszy — opowiem wam doskonale kawał, jaki zasłyszałem na onegdajszym koncercie...

— Oho! Adaś już coś wymyślił... jakąś blagę!...

— Pod słowem, nie żadna blaga, tylko naj-

prawdziwsza prawda. O!óż wybrałem się na koncert, bo jak wiecie, lubię muzykę...

— Szczególnie damską kapelę!...

— Nie przeszkadza! Wziąłem miejsce w dwunastym rzędzie... Na lepsze nie stać biednego urzędnika... Oglądam się... koło mnie prawie pusto... Za to pierwsze rzędy przepełnione... I co za publika, rozkosz!... Brylanty! Jedwabie! Perfumy!...

— Futrzane boa i czosnek!...

— Właśnie. A no nic. Muzyka zaczyna grać. Hałas jak był na sali, tak jest. Koncertant się marszczy, krzywi — nic nie pomaga!...

— Co sobie mają żałować za swoje pieniądze?!

— Wcale sobie nie żalowali. Jedna z „dam” tak głośno opowiadała, że ten „bardzo śliczny kawalek”, to jej Różia gra na „fortepiano”, że aż ja musiałem usłyszeć w moim skromnym dwunastym rzędzie. Ale to jeszcze wszystko furdal!... Najlepsze będzie dopiero... Słuchajcie! W czasie przerwy „damy” promenują w foyer... Jedna miała na sobie wspaniałą żakiet pluszowy. Prawdopodobnie żał jej się było z nim rozstać, chociaż gorąco było jak w piekle!...

— Ona się pewnie bała zostawić w garderobie, „coby jej go nie ukradły”!...

— Nie wiem, być może... O!óż właścicielka pluszowego żakietu gryzła zawzięcie czekoladki, tak jakby to była gęś pieczona!... A ponieważ widocznie zapomniała chusteczki do nosa, albo też słabo znała jej użytek więc ofarła sobie usta połą swego wspaniałego żakietu!... Ktoś jej zwraca uwagę: „Pani Edelstein, szkoda taki piękny żakiet” na co dama odpowiada: „Nic nie szkodzi, ja mam w domu ładniejszy!...

— Ha! ha! ha!

— Doskonale!

— Si non é vero é ben trovato.

— Ależ nic nie zmyśliłem!... Prawda co do słowa!... — zapewniał opowiadający, zerkając z pod oka to w stronę Józii — to ku jakimś dwóm na złoto utlenionym blondynkom.

Józia śmiała się prawie głośno. Jurek uśmiechał się także, uszczęśliwiony, że ona rozweseliła się i zdaje się bawić wybornie.

— Kto są ci panowie? Nie wie pan, panie Jurku? — zapytała, wskazując towarzysiwo, otaczające trzy zestawione razem stoliki. Uderzyło ją w tem gronie kilka bardzo oryginalnych fizyognomii.

— Ci, to już chyba nie „wojenni” „bogacze”!...

— O! nie!... to są literaci i artyści. — objaśnił chłopiec.

— A pan zna którego z nich?...

— Osobiście nie znam!... Ale z widzenia, z nazwiska!... O ten, widzi pani, z taką nastroszoną czupryną, to jest!...

Wymienił znane nazwisko poety.

— Co? On?... Doprawdy?... Wie pan, że ja go sobie zupełnie inaczej wyobrażałam.

Z dziecinne zainteresowaniem wpatrzyła się w poetę, który nie spostrzegając wcale, że zwraca na siebie uwagę ślicznej kobiety, wychylił jednym haustem kieliszek jakiejś czerwonej wódki. Puste szkło wznosił do góry i zaśpiewał:

Komu dzwonią, temu dzwonią,  
Ty w kieliszku bracie dzwoń  
Bo takiemu kirusowi  
Jakie życie — taki skon! skon! skon!

W piwnicy mnie pochowajcie,  
W piwnicy mi kopcie grun! —  
I głowa mnie do drzw! dajcie,  
Tam, gdzie jest od beczki szpunt!

Księdza mi tam nie wołajcie,  
To potrafi każdy chłop.  
Ty mi bracie za kielaj  
Spłytusem ciało skrop! skrop! skrop!

— Tylko uczciwym spirytusem, a nie takim, jaki jest w tej wódce!...

— Zachciewa ci się!... A cóż to gospodarz nie musi robić majątku na wojnie!...

— Na pohybel mu!

— Wesół chłopiec — uśmiechnęła się Józia — ale doprawdy, nigdybym nie pomyślała, że on tak wygląda i takie piosenki śpiewa!...

Pomiędzy stolikami przesuwiał się teraz piękny, siwowłosy starzec w czamarze, dzwoniąc trzymaną w ręku puszką.

— Grosz na szkoły kresowe, proszę! Na szkoły!...

Towarzysze wesółego poety i on sam — wszyscy jakby na komendę sięgnęli do kieszeni. Niejeden z nich głęboko zaglądał do portmonełki, ale od dalku nie uchylił się żaden.

Dał i Jurek. Józia złożyła ofiarę ze swoich

skromniutkich zasobów, uśmiechając się przyjaźnie do kwestarza, którego piękna, o szlachetnych rysach głowa, budziła w niej podziw i sympatię. Młody oficer, samotnie siedzący z gazetą w ręku, rzucił także monetę do puszek. Jakies panie czarno ubrane przywołały ku sobie starca.

Inni odprawiali kwestarza pogardliwym gestem, albo udawali, że go nie widzą.

Dama w brylantach i futrze głośno wyraziła swoje niezadowolenie:

— Ach! Dese ewige Bettlerei.

Starzec smętnie uśmiechał się, kiwał głową i szedł dalej dzwonić puszką:

— Na szkoły grosz!... Na polskie szkoły!... Józia aż zaczerwieniła się z gniewu.

To ohydne, że tak mało osób dało! Tacy postrojeni, siedzą w kawiarni, a żalują kilka centów na szkoły!

Jurek wzruszył ramionami.

— Szkoda pani oburzenia. Tyle stokroć ohydniejszych rzeczy dzieje się na każdym kroku.

— Trzeba przecież jakoś przeciwdziałać! Od czegoś są szlachetni, uczciwi ludzie! — gorączkowała się.

— Przeciwdziałać? Ba! Ale jak, kiedy ręce związane?

— Jurek Borzecki! Jak się masz! Na urlopie? — zabrzmiał nagle młody dźwięczny głos. Legionista ułan wyciągnął do Jurka rękę z uśmiechem serdecznej uciechy.

— Wacław!

Borzecki porwał się z krzesła i rzuciwszy Józii:

— Przepraszam panią na chwilę — ujął ułana pod ramię. Legioniści weszli do wnętrza sali kawiarnianej, prawie zupełnie pustej, bo wszyscy goście wylegli na werandę. Kilku tylko stałych bywalców schroniło się tutaj, aby swobodnie przeczytać gazety.

Jurek i Wacław usiedli przy pierwszym lepszym stoliku. Jeli rozmawiać żywo, rzucając zdania krótkie, urywane, gorączkowe.

— Więc i ty na urlopie?

— Tak.

— Kiedy wracasz?

— Za tydzień.

— Co z nami będzie?!

— Ha! Tego nikt przewidzieć nie może i o to mniejsza! Ale co będzie z Polską?!

— Polska nie tyle już przetrwała. Przetrwa i to, a zginąć nie może. Tylko co mamy robić?

— Rzucić serce boli!... Zostać... czy to w tych warunkach będzie spełnieniem obowiązku?

— Wacku!... Wacku!... Kto by to pomyślał wtedy, kiedyśmy w Kielcach!...

— No, zobaczymy jak się to ułoży. A jeśli będzie trzeba... to droga jest tylko jedna!

— A wiesz, że...

Jurek zniżył głos do szeptu i mówił koledze coś prawie do ucha. Ułan zapłonął rumieńcem, oczy mu się zaiskrzyły, zgrzytnął zębami i zgniótł gniewnie ręką rękę szablę.

— Krew w człowieku kip! Żeby tak można! Żeby tak można za to wszystko!...

Chwilę jeszcze rozmawiali półgłosem. Wreszcie Jurek obejrzał się na stoliki, widniejące poza szybą i podniósł się.

— No, żegnaj Wacku.

— Uciekasz już?

— Jestem z kobietą. Nie mogę jej tak długo pozostawiać samej.

Ułan uśmiechnął się znacząco.

— A tak, oczywiście. I to jeszcze z taką śliczną kobietą. Cud-dziewczyna! Czy to może narzeczona, co?

Oczy Jurka zamgłyły się. Odwrócił głowę.

— Ależ skądże — odpowiedział bezdźwięcznie. — To mężatka.

— Mężatka? Doprawdy? Nigdybym nie przypuścił. Taka młodzianka. Ale to nic nie szkodzi, że mężatka. Przeciwnie. Gratuluję ci, Jur.

Borzecki drgnął całym ciałem, jakgdyby go kto uderzył.

— Wacek! Mylisz się! To nie jest, jak sobie wyobrażasz. Ty nie wiesz. To... to... I proszę cię bardzo!...

— Ależ dobrze, dobrze. Nic sobie już nie wyobrażam! Co mi do tego! No, zmykaj, bo istotnie ta pani już dość długo czeka.

Kiedy Jurek powrócił, zdziwił się zmianą, jaka zaszła w Józii. Wesół uśmiech zniknął z jej twarzy. Młoda kobieta była widocznie silnie zmieszana. Oczy miała spuszczone, usta drgały, ręka nerwowo gniótła jakąś kartkę papieru.

Jurek sądził, że ona jest zagniewana z po-